



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Krystyna Milewska

Odcisnięte w pamięci

Urodziłam się 21 stycznia 1937 roku w Warszawie. Choć od wojny minęło już tyle lat, niechętnie wracam do tamtych wspomnień. Gdy wybuchła II wojna światowa mieszkałam z rodzicami i babcią przy ulicy Belwederskiej. W mojej pamięci pozostał obraz czarnego nieba usianego lampionami. Rodzice przenosili mnie przez podwórze do piwnicy. Niemcy oświetlali miasto raketami. Przedziwne leciały bomby. Dla mnie było to połączenie piękna i grozy. Nic więcej z miesiąca oblężenia nie pamiętam.

Wkrótce po wkroczeniu Niemców do Warszawy zostaliśmy wraz z innymi mieszkańcami usunięci z domu przy ulicy Belwederskiej. Budynek zajęło Gestapo. Ponieważ mój ojciec inż. Arkadiusz Sławiński był pracownikiem Elektrowni Warszawskiej – Powiśle. Otrzymaliśmy mieszkanie służbowe, które stykało się z halą, gdzie pracowały turbiny. Panował tam hałas przekraczający na pewno 100 decybeli, drżała podłoga, w kredensie dzwoniły szklanki, ale jakoś nikt się tym nie przejmował. Mieszkanie było obszerne, dwupoziomowe. Lubiłam biegać po schodkach. Jako jedynaczka szukałam jakiegoś urozmaicenia. Spędziliśmy tam cały okres okupacji do wybuchu Powstania Warszawskiego.

Czas wojny to dla mnie czas głodu. Choć mój ojciec nadal pracował w elektrowni, to jego pensja nie starczała na utrzymanie 4 osób, bo była z nami moja babcia, matka ojca. Mama do wybuchu wojny pracowała w Ministerstwie Oświaty, które przestało istnieć. Ten budynek budził teraz grozę, bo był siedzibą Gestapo. Mama nie pracowała. Początkowo wyprzedawała nasze rzeczy, żeby kupić dla mnie coś lepszego do jedzenia. Do dziś pamiętam smak serdelka, który udało jej się w jakiś sposób zdobyć. Później zaczęła chodzić do getta handlować z zamkniętymi tam ludźmi, którzy mieli pieniądze i różne kosztowności, a przymierali głodem. Zdarzało się, że wracała z niczym, bo zanim dotarła do bogatych Żydów, z którymi była umówiona, rozdała żywność biednym. Przychodziła bardzo zdenerwowana. Ja nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkie niebezpieczeństwo jej groziło i co przeżywała, patrząc na ludzkie tragedie. Raz omal nie zginęła, bo trafiła na blokadę. Wszystkich mieszkańców domu wypędzono na ulicę. Ocalała kryjąc się za jakimiś drzwiami.

Czas wojny to dla mnie czas strachu i okropnych widoków. Teren elektrowni był strzeżony przez Ukraińców. Spacerowali z bronią w rękę, siedzieli w dyżurce przy wejściu, często pijani. Bałam się przechodzić koło nich, a musiałam to robić kilka razy dziennie. Moja mama nieustannie czymś handlowała. Kursowały więc obie z babcią z towarem w torbach, a ja zawsze musiałam im towarzyszyć, bo uważano, że tak lepiej wygląda. Miałam wówczas 4-6 lat i takie było moje dzieciństwo. Zamiast beztrudnie bawić się w Parku Ujazdowskim lub spacerować po Łazienkach, służyłam jako osłona dla zakazanych przez Niemców produktów. Raz kiedy niosłyśmy nasz transport, a była to

zima, ciemno, minęliśmy patrol niemiecki z bronią gotową do strzału. Raptem usłyszałyśmy okrzyk: „Halt!” Stałyśmy. Niemcy przebiegli obok nas – gonili kogoś innego. Za chwilę padły strzały. Skręciliśmy w boczną ulicę. Innym razem, kiedy szłyśmy z towarem ulicą Smulikowskiego, byłam świadkiem śmierci bardzo pięknej, eleganckiej kobiety. Podjechała riksą. Kiedy zaczęła z niej wysiadać, podbiegli dwaj mężczyźni, rozległy się strzały i kobieta osunęła się do rikszy, a na jej pięknym stroju ukazała się krew. Wszystko odbyło się błyskawicznie, jakieś 30 kroków od nas. Babcia chwyciła mnie mocno za rękę i zaczęłyśmy szybko uciekać z tego miejsca. Dziś zdaję sobie sprawę, że była to prawdopodobnie konfidentka i musiała zginąć, ale wówczas dla dziecka widok śmierci młodej osoby musiał być przerażający, ponieważ scenę tę widzę wciąż tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Świadkiem takich wydarzeń na innych ulicach byłam jeszcze wielokrotnie, ale trafiałyśmy na nie tuż po zamachu, kiedy trup leżał przykryty papierem.

Często chodziłyśmy we trzy: babcia, mama, a ja w środku. Raptem zaczynałyśmy biec. Słyszałam słowo: „łapanka”. Strasznie się bałam, że mamę i babcię zapędzą do „budy” (samochodu ciężarowego), a ja zostanę sama na ulicy i nigdy nie trafię do domu, do taty. O niego również strasznie się bałam. Niemcy wszędzie węszyli sabotaż. Gdy którejś nocy nastąpiła awaria w hali maszyn i spora część miasta została pozbawiona prądu, mój ojciec, który był inżynierem ruchu, został wezwany do Gestapo na Szucha. Znał świetnie język niemiecki i może dlatego po kilku godzinach zwolniono go. Widocznie Niemcy nie chcieli pozbyć się fachowca, z którym mogli się w każdej chwili łatwo porozumieć. Mimo chwilowej ulgi bałam się dalej. Wiedziałam już, jak szybko umiera człowiek i że niebezpieczeństwo grozi na każdym kroku zarówno w domu, jak i na ulicy. Przez 6 lat nie wyjeżdżałam z Warszawy, nie widziałam otwartej przestrzeni, piękna przyrody, nie znałam poczucia swobody, jaką daje wieś lub duży park. Łazienki były dla Polaków niedostępne.

Kiedy 1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie, w naszym mieszkaniu rozległ się potężny huk – w hali maszyn rzucono granaty. Pierwszy dzień powstania i noc przesiedzieliśmy w mieszkaniu, w długim korytarzu, w którym nie było okien. Do rana teren elektrowni został opanowany przez powstańców. Ochrona ukraińska i Niemcy zginęli lub poddali się. Nasze mieszkanie stało się placówką powstańczą. Ojciec został na stanowisku, elektrownia funkcjonowała i dostarczała prąd miastu. My z babcią i mamą przeniosłyśmy się do budynku administracyjnego, który po dziś dzień znajduje się po drugiej stronie Tamki. Są tam dość duże piwnice. W jednej z nich przesiedzieliśmy cały miesiąc, do końca walk na Powiślu. Z piwnicy można było wyjść na podwórze, ale drzwi były zabezpieczone workiem z piaskiem. Obok znajdowała się taka niższa, w której bawiły się dzieci. Naszym marzeniem było wyjść na podwórze, ale torem średnicowym jeździł pociąg pancerny, który ostrzeliwał Powiśle, a więc i to podwórze. Jeden ze starszych chłopców wybiegł jednak i został zabity.

Kiedy upadło Stare Miasto, wiadomo było, że Niemcy wezmą się za elektrownię. 4 września mój ojciec miał dyżur. Mama czuła zbliżające się niebezpieczeństwo i nie chciała się z nim rozstawać. Widocznie postanowiła, że musimy zginąć wszyscy razem. Przeniosłyśmy się więc z powrotem na teren elektrowni do piwnic pod rozdzielnią. Niebawem rozpoczęło się straszliwe bombardowanie. Elektrownia została wówczas całkowicie zniszczona i zaprzestano dostarczania prądu. Ja w tym czasie poznałam uczucie, kiedy ziemia unosi się do góry, a potem leci w dół. To nie przesada, tak naprawdę było. Makabryczny był również gwizd, a następnie huk spadającej bomby. Bomby padały bardzo blisko i były dużego kalibru. W nasz budynek trafiły dwie, ale na szczęście nie w to miejsce, gdzie siedzieliśmy. Byliśmy zasypani pyłem, kawałkami cegły, ale strop nad nami nie zawalił się. Każdy człowiek w czasie tak potwornego bombardowania zachowuje się jak szczur. Usiłuje schować się pod stół, krzesło lub cokolwiek innego. Pamiętam to ponizające uczucie bardzo dobrze, nigdy tego Niemcom nie zapomnę i nie wybaczę!

Kiedy skończyło się bombardowanie, zaczęliśmy szukać wyjścia. Od jednej strony był zawał bombowy. Podniósł się krzyk. Była z nami część obsługi elektrowni, kilkanaście osób. Na szczęście z drugiej strony udało się przejść po gruzie i dotrzeć do klatki schodowej. Kiedy doszliśmy do drzwi, ukazał się widok przerażający. Wszędzie płonęły jakieś elementy, pełno było gruzu, przejście zryte lejami po bombach. Wtedy moja mama dała mi na głowę poduszkę i kazała iść na drugą stronę Tamki do budynku administracyjnego, skąd tak niedawno przechodziłyśmy do elektrowni, żeby być z ojcem. Poszłam kawałek, ale przeraziły mnie płomienie i leje po bombach. Zawróciłam. Powiedziałam, że nie można przejść. Ale ponownie kazano mi iść, więc poszłam. Za mną w odległości 30 kroków szła moja mama, a za nią następna osoba. Liczono prawdopodobnie, że jeśli są tam gdzie Niemcy, to dziecka nie zastrzelą. Na szczęście ich jeszcze nie było. Dotarliśmy do budynku, który nocą opuścili powstańcy.

Następnego dnia, 5 września rano, weszli Niemcy. Wyprowadzono nas pod pomnik warszawskiej Syrenki. Jeździł tam czołg, pełno było uzbrojonych po zęby żołnierzy. Mężczyzn odłączono i gdzieś zabrano. Zostały kobiety, dzieci i starcy. Niemcy kazali oddawać wszystkie kosztowności. Zebrali pełny hełm obrączek, pierścionków, kolczyków. Grozili, że jeśli coś znajdą, będą zabijają. Moja mama już

wcześniej ukryła kosztowności w moim buciku. Wówczas dzieci nosiły sznurowane buciki z cholewkami. Ruszyliśmy wzdłuż Wisły do ulicy Bednarskiej, a następnie w górę. Domy na Bednarskiej płonęły. Trudno było iść przez ten żar i dym. Minęliśmy Krakowskie Przedmieście. Dalszej mojej drogi przez mękę nie pamiętam. Musiałam iść nieprzytomna z bólu. Wiem na pewno, że nie płakałam. Inne dzieci chyba też nie płakały. Kiedy dotarliśmy do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej, był tam już mój ojciec, o którego tak strasznie zamartwiała się cały czas mama. Wreszcie zdjęto mi bucik. Było w nim pełno krwi, a noga piekielnie mnie bolała.

Dotarliśmy do obozu w Pruszkowie. Tam znów oddzielono mężczyzn i przeznaczono do wywózki na roboty do Niemiec. Wtedy przydały się kosztowności z mojego bucika. Moja mama szybko się zorientowała, co trzeba zrobić i wykupiła ojca i jego kolegę pana Ryszarda Kwiatkowskiego. Po kilku dniach wyjechaliśmy z transportem na wieś, bo warszawiaków rozlokowywano po wsiach. Ponieważ byliśmy razem z ojcem, musieliśmy się ukrywać; najpierw na peryferiach Tomaszowa Mazowieckiego, a następnie w Piotrkowie Trybunalskim, aż do wejścia Armii Czerwonej. Takie było moje dzieciństwo. Gdy patrzę dziś na dzieci, trochę im zazdroszczę tych beztroskich zabaw, wyjazdów na wieś, swobody.